

Choroba

– Zostań ze mną. Ostatnio znikasz coraz częściej.

– To nie zależy ode mnie. Wróć najszybciej, jak się da.

– Wiem. Kocham cię tak bardzo.

Nie chcę, żeby widziała smutek w moich oczach, ale nie mogę przestać na nią patrzeć. Nienawidzę się z nią rozstawać.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo ja kocham ciebie. Jestem tu tylko z twojego powodu – mówię.

– Więc zostań ze mną.

Wiatr rozwiewa jej włosy, zupełnie jak na filmie. Odgarnia je palcami, piękność. Na tle urwiska wygląda jak bogini.

– Bardzo bym chciał, bardzo. Niedługo będę z tobą cały czas.

Przygryza wargę. Robi to specjalnie, każdy jej ruch ma mnie uwodzić. Ciężko mi się powstrzymać, żeby znów nie przyssać się do jej ust.

– Wy tłumacz mi, od czego to zależy? Dlaczego nie możemy być już zawsze razem? – pyta cicho.

Smutnieję. Teraz mogę oderwać od niej wzrok, sam opada na ziemię, oglądam żdźbła trawy.

Jestem pewien jej miłości jak niczego na świecie. I chciałbym to w końcu wytłumaczyć tak, żeby nie kłamać. Ale prawda może ją zasmucić. Wiem, że zasmuci. Nie jestem jeszcze gotowy, żeby ją wyjawić.

– Muszę pracować, Marta, ogarniać życie. Ale tylko po to, żeby znowu być z tobą – mówię.

– Nie mogę ci pomagać, być przy tobie?

– No jak? To niemożliwe. Obiecuję, że kiedyś wszystko ci wytłumaczę, jak już nie będę musiał cię opuszczać. Szybciej niż myślisz.

Chciałbym jeszcze z nią zostać, ale muszę już spadać. Szlag by to trafił.

– Czas na mnie, kochanie – mówię.

– Nie, proszę, Bartek.

Płakać mi się chce.

– Kocham cię. Czekał na mnie – mówię.

Dzwoni budzik. Łeb mi pęka. Sam nie wiem, jak mogę spać z takim bólem głowy.

Coraz ciężiej wstać z łóżka.

– Szlag.

Przydałby się zastrzyk mocy. Czuję się fatalnie. Zaraz puszcę pawia.

I puszczam, ledwie zdążam do kibla na tych chudych szczudłach.
Trzęsę się i z trudem podnoszę z kolan. Opieram się o umywalkę.
– No, amancie. Wyglądasz jak gówno. – Uśmiecham się do trupa po drugiej stronie lustra.
I tak się czuję, ale to nieważne, tak jest od dawna. To minie, jak tylko znów będę z Martą.
– Jak najszybciej do niej.
Odrywam się od umywalki i wchodzę do wanny. Muszę się doprowadzić do porządku, wyglądać jak najnormalniej w tej durnej robocie, żeby te pajace bez życia i marzeń niczego nie zauważyli.
Ruszam się wolno, jak we śnie, kiedy kończyły się z ołowiu i każdy ruch okupiony jest nadludzkim wysiłkiem.
– Marta – szepczę.
Nawet brzmienie jej imienia dodaje energii. Nienawidzę życia bez niej. Ona jest moim życiem. Jak się nie pośpieszę z przeprowadzką, to mogę już nie zdążyć.
– Zdechnę w tej norze. Na własne życzenie.
Patrzę na zasyfiałą łazienkę. Mieszkanie wygląda jak melina. Nie mam siły ani chęci sprzątać. Dobrze, że ona tego nie widzi.
Wiem, że sam jestem sobie winien. Już się nie okłamuję i niczego nie odkładam na później, mam to po prostu gdzieś. Dzięki Marcie niczego nie żałuję, bo ona jest celem. Powiem jej o wszystkim, jak już będę mógł z nią zostać. Kocha mnie i rozumie.
Kończę się oporządzać w łazience i ubieram garnitur. Nie muszę, ale strój dobrze kamufluje gównianą kondycję. Im bardziej elegancki, tym lepiej.
Kiedy wiążę krawat, skręca mi żołądek. Ból sadza na dupę, muszę przeczekać.
– Szlag by to – cedzę przez zęby.
Powinienem coś zjeść, ale najpewniej znowu bym się porzygał. Będę popijał wodę i po południu coś przegryzę.
– Marta.
Skurcz długo trzyma. W końcu puszcza.
– Nie mam czasu. – Czuję to.
Wstaję powoli. Jeszcze raz odwiedzę Martę, zanim się przeniosę na dobre. Mam już uzbierane prawie dwa tysiące. To trochę za mało, na przeprowadzkę do niej, ale jestem dumny z siebie, że mam taką silną wolę, że tego nie rozpieprzyłem.
– Pieprzony szmalec.
Zapytam dziś kierownika, czy jak się zwolnię w trybie natychmiastowym, to dostanę jakąś odprawę, może nie będę musiał brać chwilówki.
– Uff. – Wzdycham. Przeszło, jest ok.
Ubieram buty w przedpokoju, prostuję się i gładzę ciuchy patrząc na siebie w brudne lustro, które komentuję.
– Jak zarzygane. Muszę je wytrzeć w końcu.
Po co się jeszcze okłamuję? I tak tego nie zrobię. Muszę się stąd po prostu wynieść jak najszybciej. Jak zdobędę resztę szmalu i złapię Pawła, zorganizuję

wszystko błyskawicznie. Umawiałem się z nim, ma być czujny, ale na takich jak on nie można liczyć.

– A na ciebie można, wymoczku?

Marta może na mnie liczyć.

Cieszę się, że mogę usiąść w tramwaju, rzadko można o tej porze. Chociaż zachodzi obawa, że zasnę, a tego bym nie chciał raczej. W największe upały zasłałem dwa razy.

Patrzę za okno, jak przesuwa się miasto, ale cały czas czuję na sobie wzrok jakiegoś dzieciaka. Wkurza mnie to. Co robi w tym tramwaju? Dzieci nie jeżdżą tą linią o tej godzinie, tylko ludzie do roboty w Mordorze.

Chcę speszyc go wzrokiem, ale ubiega mnie jego matka.

– Bartuś, nie można się tak przyglądać.

No proszę. Taki wkurzający, a ma tak samo na imię, jak ja.

Nie lubię dzieci, brzydzą mnie. Dobrze, że Marta nie porusza tego tematu. Chociaż jeszcze z nią o tym nie rozmawiałem. A kobiety zazwyczaj chcą dzieci. Jest jeszcze młoda.

– Szlag – szepczę.

Trochę za głośno, gówniarz znowu się na mnie patrzy. Ciekawe, czy ja też byłem taki wkurzający jako szczeniak. Nie pamiętam. Często dostawałem wpierdziel od ojca, to chyba byłem.

– Bartek – matka chłopaka zwraca mu uwagę.

Większości życia nie pamiętam. Przez zasraną ciotkę Helenę, wszystko przez nią. Nienawidzę jej i kocham jednocześnie. Ale gdyby nie ona, nie spotkałbym Marty, mojej wymarzonej, ukochanej.

– Czemu ten pan ma takie dziwne okulary?

Okulary? Co on pieprzy?

– To nie są okulary, synku, przestań się przyglądać. – Głupio jej za niego.

Jakie okulary? Ach... Sińce pod oczami. Co za gnojek, ale wymyślił. Gówniarze mają wyobraźnię. Teraz matka trzyma mu głowę, bo chłopak chce sprawdzić, co to jest, skoro nie okulary.

Niedobrze. Muszę źle wyglądać. W szybie się nie przejrzę, jest za jasno. Zresztą, mam to gdzieś.

Patrzę na nich i przypominam sobie swoją mamę, jak trzymałem się jej spódnicy i chowałem za nią, kiedy stary chciał mnie zlać. Broniła mnie i często przez to obrywała. Nie pamiętam, nic nie widziałem, byłem niżej i chowałem głowę w spódnicę, żeby nie patrzeć. Pamiętam tylko, że mocniej się wtedy trzymałem, bo spódnica próbowała się wyszarpnąć.

Przystanek Taśmowa, wysiadam.

Jak mi się nie chce już tu być. Śmierdzi betonem i kurzem, w ogóle śmierdzi w Warszawie. Gdyby nie Marta, szybciej bym rzucił tę korpo zabawkową pracę dla debili.

Dziś po robocie odwiedzę ją i powiem, że pewnie już jutro przeniosę się do niej na stałe.

– Ucieszy się.

- Co takiego? – pyta ochroniarz przy bramkach w biurowcu.
- Dzień dobry – mówię.
- Kiwa na przywitanie i patrzy podejrzliwie, jakiś stary zomowiec pewnie. Gdzieś oni wszyscy się przecież podzieli.
- Wszyscy mi się przyglądają, niektórzy ze współczuciem. Przecież tylu jest chorych ludzi. Już się przyzwyczailem. Większość nie wie, jak zareagować i udaje, że mnie nie widzi. To odpowiada mi najbardziej, szczególnie, kiedy odsuwają się ode mnie w windzie. Byle jak najdalej. I niech nikt ze mną nie gada, chcę mieć spokój. Jakoś przetrzymać dzień.
- Siemanko, jak tam dzisiaj, stary? – pyta Mariusz, kiedy wchodzę na dział.
- Nie wyglądasz najlepiej.
- Siemka, jak zawsze przecież. – Podaję mu rękę.
- Słabo dziś, dobrze się czujesz?
- Myślę, czy nie powiedzieć, że miałem ‘chemię’, ale olewam to.
- Słabo, ale co zrobić – odpowiadam.
- Mariusz jest kierownikiem. Spóźniam się codziennie, ale jest dla mnie wyrozumiały, bo wyglądam, jakbym miał zaraz umrzeć. A ja tu wciąż jestem.
- Chcę iść do swojego kąta, ale zapytam go od razu.
- Masz chwilę, żeby pogadać?
- Jasne.
- Idziemy do socjalu.
- Mów, co się dzieje. – Przygląda mi się uważnie.
- Muszę się zwolnić jak najszybciej. Nie dam rady dłużej pracować.
- Rośnie zmartwienie na jego twarzy i wyobrażenie choroby w głowie.
- Rozumiem. Mogę ci jakoś pomóc?
- Potrzebuję pieniędzy. Należy mi się jakaś odprawa?
- Jasne. Zrobimy zwolnienie za porozumieniem stron. Należy ci się trzymiesięczna odprawa, stary.
- Kurde, dziewięć tysięcy ponad! Więcej, niż potrzebuję. To będzie przeprowadzka w pięknym stylu.
- Super. Co mam zrobić? – pytam.
- Już samo to pytanie mnie zmęczyło.
- Ja się wszystkim zajmę. Zostajesz dziś jeszcze w pracy?
- Jednak wyjadę z tą ‘chemią’.
- Jeśli nie muszę, to chętnie pojadę do domu, zawsze po chemii czuję się jak gówno.
- Widać, stary. Ok, nic się nie martw. Zdanie sprzętu, obiegówka, zajmę się wszystkim. Podejrzewam, że nie możesz czekać miesiąc na pieniądze?
- Potrzebuję jak najszybciej. Na ‘już’ najlepiej.
- Widzę w jego oczach, jak wyobraża sobie, że umieram w tej chwili. Kurczę, chyba się przeliczyłem. Przecież nie dostanę dziś pieniędzy.
- Jednak wezmę tę chwilówkę, jeden pies zresztą. Później szybko spłacę.
- Ok, nic się nie martw. Leć.
- Dzięki.

Czuję się tak źle, że nie widać po mnie, jak się cieszę. Mam nadzieję, że nie zaczną mnie pytać o szczegóły leczenia albo co gorsza, poproszą o jakieś kwity, żebym to udowodnił.

– Po co? – mówię na głos, jestem w windzie sam.

Kiedy wychodzę z biurowca i idę na przystanek, świadomość, że niedługo znowu pocuję to cudowne uczucie i spotkam się z Martą, dodaje mi energii. Wszystko inne schodzi na bardzo odległy plan. Nie ma już perspektywy całodziennego męczarni w pracy, w sztucznej atmosferze, udawać kogoś innego i starać się trzymać fason.

– Yesss...

Radość zaczyna rozpierać mi serce, napływa jak fala. Uwielbiam to uczucie. Jak dziecko czekające na prezent albo wycieczkę. Flaki jakby mniej boją i drzenie w środku słabnie.

– Musisz coś zjeść.

Wcale mi się nie chce, ale mówię to przez ten entuzjizm, niby przywołując się do porządku, bo przecież jestem poważnym, dorosłym człowiekiem.

– Ponad dziewięć koła, coś pięknego.

A potrzebuję tylko dwóch. W tej euforii chcę zadzwonić do Pawła, żeby się przygotował, bo jutro załatwię szmal. Szlag mnie trafi, jeśli będę musiał na niego czekać.

Szukam w komórce jego numeru, kiedy dzwoni mama. Przewracam oczami.

– Nie ma kiedy.

Będzie mi truć i pytać, co się ze mną dzieje, dlaczego jej nie odwiedzam. A ja zwyczajnie nie mogę patrzeć na jej zmartwiony wzrok. Ale mama to mama. I tak się nacierpiała.

Będę miał to za sobą.

– Cześć mammo.

– Bartuś, co się z tobą dzieje? Dlaczego nie odbierałeś? Nawet wczoraj nie oddzwoniłeś.

Jak mnie męczy to jej zmartwienie w głosie. Mam jej ochotę powiedzieć, żeby się w końcu odpieprzyła i pojęła, że nie jestem dzieckiem i wiem, co robię.

– Nie miałem z sobą telefonu, byłem u swojej dziewczyny.

– Masz dziewczynę?

– Tak, mammo. Ma na imię Marta i jest wspaniała. Chciałbym, żebyś ją poznała.

– To cudownie, synku. Zaproś ją na obiad. Może dziś?

Wzdycham, bo krzyżuje mi plany.

– Nie dziś, mammo. Muszę z nią najpierw porozmawiać.

– Nie możecie przyjechać na obiad? Może być nawet kolacja.

Myślę, jak się jej pozbyć, żeby nie męczyła i wiedziała, że nas nie będzie.

– Dobrze, rozmawiam z nią, ale nie obiecuję. Jak się nie odezwę, znaczy, że innym razem.

– Bardzo mi zależy, postarajcie się. Czuję od kilku dni jakiś niepokój i obawy.

Przewracam oczami.

– Spróbuję, ale to nie zależy tylko ode mnie. Porozmawiam z nią i jak się nie da dziś, to dam znać, kiedy.

– Bardzo dobrze. Odezwij się jak najszybciej. Zrobię coś pysznego.

– Dobra, dam znać. Muszę kończyć, pa.

– Pa, synku.

Nie chce mi się jeść i z nią siedzieć. Nie znoszę czuć cały czas jej wzroku na sobie i oceniania mojego wyglądu. Gadania o moim życiu, planach i tak dalej.

I mam wrażenie, że stary wciąż tam jest, a nie w piachu. Siedzi w swoim pokoju, żeby nagle wypaść z niego wkurzony i drzeć mordę. To pamiętam dobrze, jak w małym pokoju przylegającym do salonu, gdzie nikt nie mógł wchodzić, siedział ciągle i oglądał telewizję, kiedy niespodziewanie coś mu do łba strzelało i wyskakiwał stamtąd z rozdartym ryjem.

Czuję się gorzej w naszym starym domu niż w tej durnej robocie.

– Dobra, spokój. – Przecież i tak nigdzie nie pójde.

Teraz zadzwonię do Pawła. Wybieram numer, jest sygnał, połowa sukcesu, bo często ma wyłączony telefon.

Nie odbiera.

– Nie, tylko nie to. – Już czuję strach.

Wiedziałem, że tak będzie.

– Dobra, spokojnie, może jest w kiblu, spokojnie.

Ale uspokoję się dopiero, kiedy odbierze i będzie miał dobre wieści.

Nie mogę wytrzymać i dzwonię co chwilę, na przystanku ze dwa razy. Potem piszę wiadomość.

‘Odezwij się.’

Mam wrażenie, że mijają całe wieki, a on nie odpisuje. Mam ochotę dzwonić znowu, ale przecież nawet tramwaj nie zdążył przyjechać, a kursują co kilka minut.

– Uspokój się durniu.

Jakaś kobieta patrzy na mnie, usłyszała, że gadam do siebie. Mam to w dupie.

– No co on robi, do jasnej cholery, ile można srać? – warczę przez zęby.

W końcu przyjeżdża tramwaj. Wskakuję do niego i siadam szybko, żeby zadzwonić. Wciąż cisza. Jak mnie to wkurza.

Nie mogę usiedzieć, jestem pobudzony, jakbym za dużo wychlał yerba mate. Chciałbym już być spokojny, żeby radość wróciła, a nie niepokój, że on już może nigdy nie odebrać. Tak to jest być zależnym od czyjejś pomocy.

Wchodzę do domu i przebieram się w luźne ciuchy. Wybieram najmniej śmierdzący dres, już dawno nie robiłem prania.

– W dupie mam toooo...

Muszę się opanować.

– Oddzwoni, a ty jesteś głupkiem. Może nie wziął komórki do sklepu, cokolwiek. Uspokój się, kretynie.

Siadam na kiblu. Napiszę do niego.

‘Halo, Paweł, jesteś tam? Zadzwoni jak najszy...

Nie kończę wiadomości, kiedy dzwoni. Z ekscytacji prawie mi telefon wpada do kibla.

- Siema, siema, jestem – mówię.
- Witam, co tam?
- Słuchaj, będę miał jutro siano, ogarniemy temat?
- Jasne, jutro?
- Tak, załatwisz? Pamiętasz ile?
- Pamiętam.
- Rewelacja, daj znać. To na razie.
- Narka.

Prawie zgniatam telefon ze szczęścia.

- Yes!

Uwielbiam mieć powód do radości, aż mi się chce śpiewać.

- Marta na mnie czeka, czeka, czeka, czeka...

Wstaję z kibla, myję ręce i idę do kuchni.

- Ciociu Helenkooo, gdzie jesteś!

Nie pamiętam, kiedy miałem tak dobry humor, aż mam ochotę tupać w miejscu nóżkami. Jakby to był najlepszy dzień w moim życiu.

Otwieram szafkę nad blatem i sięgam po małą puszkę po kawie. Z szuflady biorę łyżkę stołową, folię aluminiową i siadam przy stole. Wyciągam z puszkii plastikowy woreczek zamykany na żyłkę i szklaną rurkę.

- Heluniu, cioteczko najdroższa.

Mam jakieś trzy gramy kryształów haledoiny, to całkiem niezły zapas i kupa szmalu, bo nie ma droższego narkotyku. Jednak najważniejsze jest to, że ten naprawdę przenosi w inny wymiar. To nie jest zwykły haj. Nie wiem, czy ktoś odkrył, czy robią jakieś badania, ale Hela otwiera jakiś portal i autentycznie przenosi świadomość do innego świata. Nie znam nikogo, kto to bierze, oprócz mnie. Paweł mówił, że tylko dla mnie to ściąga.

Niestety trochę kopie zdrowie. Ciało nie jest przystosowane do odrywania jaźni i przenoszenia do innego wymiaru, to za każdym razem duży wstrząs. Dlatego chcę się przenieść do Marty raz na zawsze i już nie męczyć organizmu podróżą ani serca rozłąką. Ukochana też cierpi, kiedy mnie przy niej nie ma.

- Już za chwilę, malutka.

Odwijam kawałek folii i urywam, formuję małą cebulkę, w którą wsadzę rurkę. Otwieram woreczek i wrzucam do foliowego kokonu pierwszy kryształek, potem zaciskam folię na szklanej rurce.

Zafunduję sobie dziś porządny długi pobyt. Nie muszę już oszczędzać, skoro jutro Paweł załatwi mi Heli ile trzeba. W końcu będzie czas na zwiedzenie świata Marty. Ciekaw jestem, jaka jest ziemia w jej wymiarze, jak bardzo różni się od tego nędznego padołu tutaj. To, co widziałem do tej pory, wydaje się rajem.

Potrzebuję dziesięciu gramów, żeby przenieść się na zawsze, to pewna ilość i ponad pięć tysięcy złotych. Trzy już mam, na resztę wezmę chwilówkę.

- Będziemy już zawsze razem.

Będę mógł Marcie wszystko wytłumaczyć, przestać ukrywać prawdę o tym, czego używam, żeby z nią być. Na razie boję się, że uzna mnie za narkomana,

ćpuna, tak jak ludzie tutaj by uznali, i mogłaby zwyczajnie mnie zostawić. Świat jest podły, pełen niezrozumienia.

– Paweł cię rozumie. – Uśmiecham się. – Nie, nie rozumie. Chodzi mu tylko o szmal.

Przekręcam i wciskam kurek kuchenki, gaz zaczyna płonąć. Jedną ręką trzymam nad płomieniem łyżkę, na niej aluminiową cebulkę z zawiniętym kryształem. Nie grzeję bezpośrednio folii, bo lubi się przepalić. Zaciśnięta jest na końcu szklanej rurki, którą trzymam w drugiej ręce. Haledoina rozpuści się, jak żywica i zacznie parować. Nie trzeba niczego dodawać, tak jak do heroiny.

Biorę w usta rurkę i wciągam cały opar. Wiem już ile go będzie z takiego kawałka kryształu. Jak są za duże, kruszę je, żeby móc wciągnąć wszystko na raz i nie marnować. Za drogie to jest, żeby puścić bokiem choć małą strużkę.

Po chwili biorę kolejny kryształ, a potem jeszcze trzy. Ponad dwa razy więcej niż zwykle. Będę miał dziś dla Marty dużo czasu.

Idę do łóżka, zanim Hela zacznie działać. Już kładąc się czuję, jak obejmuje umysł, zaraz zacznie go teleportować.

Robi się niesamowicie kolorowo, bardziej niż zwykle.

– Marta.

Jest mi cudownie błogo. Czuję ciepły podmuch. Nie leżę już w zasyfiałej norze. Wciągam świeże morskie powietrze, czuję trawę pod głową i pod dłońmi. Otwieram oczy, oślepia mnie jasność. Unoszę się na łokciach. Zaczynam widzieć kształty, znów jestem w raju, słyszę szum morza w dole i mewy. Żadnego miasta, żadnej cywilizacji. Błękit nieba jest nieprawdopodobny, a trawa tak soczyście zielona, że zawsze skubnę źdźbło i zjem. Jestem ubrany na biało, w lekki len, zawsze tak samo.

Widzę ją! Stoi i patrzy na mnie, jest blisko krawędzi urwiska, tam gdzie zawsze się spotykamy. Wiatr rozwiewa jej czarne włosy i białą sukienkę, tak samo cienką, jak moje ubranie. Powiedziała kiedyś, że wie, kiedy do niej przychodzę.

Miłość mnie rozpiera i z radości natychmiast czuję mrowienie w całym ciele i w kroczu. Dobre stare pożądanie.

Wstaję i ruszam do niej, a ona do mnie.

Do mieszkania Bartka wchodzi jego matka. Dał jej kiedyś klucze.

Kobieta zasłania ręką usta.

– O boże! – szepcze widząc zapuszczoną norę. – Jak tu śmierdzi. – Idzie przez przedpokój. – Bartek!

Długo tu nie była, nie zapraszał jej. Jest tu przez matczyne przeczucie, które nie dawało jej spokoju.

Podchodzę do Marty, ależ ona jest śliczna. Za każdym razem mam wrażenie, że widzę ją pierwszy raz. Pod sukienką dostrzegam linię jej nagiej sylwetki, jej piersi i brodawki. Idealne ciało.

Stajemy naprzeciw siebie, a ona nie wytrzymuje i rzuca mi się na szyję.

– Ukochany.

Całuję ją po twarzy, szyi, wążam włosy, potem wpijam się w jej usta, ależ ona pachnie i smakuje.

– Tak tęskniłam – mówi pomiędzy pocałunkami.

Ja nic nie mówię, sycę się nią, tak wyrażam swoją miłość. Cieszy ją moja erekcja, mnie też, nie miewam jej od dawna w moim świecie.

Siadamy na trawie. Świat dokoła jest idealny, jasny i kolorowy.

– Zostaniesz ze mną? – pyta Marta.

– Wiesz, że tak, ale jeszcze nie dzisiaj.

Smutnieje.

– Ale dziś będę z tobą długo, moja śliczna. – Pocieszam ją.

Dziś jest piękniejsza niż kiedykolwiek. Widzę wyraźnie nawet fakturę jej skóry, drobne włoski, skupiam się na każdym najmniejszym szczególe, podziwiam każdy milimetr.

Matka wchodzi do sypialni i znajduje syna rozwalonego na łóżku. Podbiega.

– Synku, synku! – Zaczyna nim potrząsać. – Obudź się, co ci jest?!

Jest błądy jak kreda i obłany zimnym potem. Od potrząsania zaczyna wymiotować. Dużo tego nie ma, nic nie jadł.

– O boże, Bartuś!

Kładzie syna na boku. Kobieta ma już swoje lata, ale wciąż pracuje jako pielęgniarka. Sprawdza puls, jest słabo wyczuwalny.

Wyciąga z torebki telefon i dzwoni po karetkę.

– Wytlumaczysz mi, dlaczego znikasz? – Marta mnie lekko odpycha.

– Nie chcę teraz – mówię.

Chcę się z nią tylko kochać, a nie gadać o głupotach. Ale ona mi nie pozwala, patrzy w niebo.

– Zobacz, nadciągają ciemne chmury – mówi.

Zadzieram głowę. Widzę je tutaj pierwszy raz, nie wiem, skąd się wzięły.

– Tutaj pada? – pytam.

Myślałem, że w raju nie pada deszcz. Co za głupota, przecież musi padać.

– Zabierzesz mnie do siebie, pokażesz, gdzie mieszkasz? – pytam. – Nigdy mnie nie wprowadzałaś.

Uśmiecha się, od razu pcham dziób do całowania. Dostaję buziaka i Marta się odzywa.

– Myślałam, że nigdy nie zapytasz.

Wstajemy i idziemy w stronę lasu. Jest niesamowicie gęsty i ciemny, widać tylko kilka pierwszych rzędów drzew, dalej ciemność.

Dziwne, ale nie czuję się już tak cudownie błogo, jak na początku. To pewnie przez pogodę. Niebo błyskawicznie robi się stalowe. I jest chłodniej, aż dostaję gęsiej skórki.

Marta trzyma mnie za rękę i idzie przodem, jak na tych zdjęciach z różnych stron świata, gdzie dziewczyna ciągnie za sobą chłopaka. Patrzę na jej pupę, niesamowicie nęcą mnie jej pośladki.

Zbliżamy się do linii lasu.

– Mieszkasz w lesie?

– Zobaczysz.

Matka czeka na karetkę i wciąż próbuje obudzić syna. Co chwilę sprawdza tętno.

– Synku, co ty wzięłeś, obudź się! – Klepie go po twarzy. – Co wzięłeś? Co ty zrobiłeś?

Bartek oddycha coraz płycej. Kobieta w desperacji bije go po twarzy.

– Bartek!!! Obudź się!

Jej syn przestaje oddychać, a serce staje. Matka wpada w panikę, ale zaczyna reanimację, lata praktyki. Słyszy już karetkę, ten sygnał daje jej nadzieję, ale stan Bartka ją odbiera.

Kobieta potrafi rozpoznać zapach.

Zrywa się silny wiatr.

– Ale wieje, dobrze, że się schowamy – mówię tuż przed linią najczarniejszego lasu, jaki w życiu widziałem.

Marta się odwraca.

– O tak, schowamy się. – Uśmiecha się, wcześniej jej oczy tak nie błyszczały.

Ją pierwszą wchłania lodowata czerń, z głębi której dobiega wrzask, jakiego nie da się udać tak przekonująco. Jakby kogoś tam autentycznie obdzierano ze skóry.

Robię wielkie oczy i chcę się zatrzymać, ale Marta ciągnie mnie dalej, trzyma tak mocno, że nie mogę wyrwać ręki. Odwracam się jeszcze i widzę, jak ciemność się za mną zamyka.